

**RADEK**

**RAK**

**BAŚŃ O WĘŻOWYM SERCU**  
**ALBO WTÓRE SŁOWO O JAKÓBIE SZELI**



**RADEK**

# **RAK**

**BAŚŃ O WĘŻOWYM SERCU**  
**ALBO WTÓRE SŁOWO O JAKÓBIE SZELI**

**KONTRAPUNKTY**



**powergraph**

Warszawa 2019

Copyright © 2019 by Radek Rak  
Copyright © 2019 by Powergraph  
Copyright © 2019 for cover illustration by Patrycja Podkościelny  
Copyright © 2019 for endpapers by Barbara Boroń and Rafał Kosik  
Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik  
Copyright © 2019 for the photo of author by Mikołaj Starzyński  
Wszelkie prawa zastrzeżone.  
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
Redakcja: Michał Cetnarowski  
Korekta: Maria Aleksandrow  
Skład i łamanie: Powergraph  
Ilustracja na okładce: Patrycja Podkościelny  
Mapka na wyklejkach: Bibliotek Narodowa (polona.pl)  
Ilustracja na drugiej wyklejce: Barbara Boroń  
Projekt wyklejek: Rafał Kosik  
Zdjęcie autora: Mikołaj Starzyński  
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



Wydawca:  
Powergraph Sp. z o.o.  
ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa  
tel.: 22 834 18 25  
[powergraph.pl](http://powergraph.pl)  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)

**ISBN 978-83-66178-11-3**

Druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA  
Printed in Poland, EU

*Dla Basi*



*Miłość jest również w kamieniu.  
Tutaj szuka ona głębi ziemi.*  
Eckhart

Mówienie zawsze jest wysiłkiem  
i niczego człowiek nie zdoła powiedzieć do końca.  
Koh, 1,8





CZĘŚĆ PIERWSZA  
**SERCE**



# I O pieśni zaklętej

Powiadają, że wszystko zaczęło się wieczorem.

*Wieczorem, wieczorem  
Pieśń się niesie borem.  
Kogo pieśń poniesie,  
Zatraci się w lesie.*

— Jaka pieśń, dziadku? — pyta Kóba.

Stary Myszka mamle coś w bezzębnych ustach. Nie wiada, czy jakie słowa, czy to może takie zwykłe starcze dziamdziolenie. Wypełniony gliną wóz podskakuje na wybojach. Stary Myszka i Kóba jadą aż z Kopolin, bo tam glina najlepsza w całej okolicy. Droga jeszcze daleka, a w drodze, wiadomo, dobrze jest śpiewać i opowiadać przeróżne historie.

*W lesie nad ruczajem  
Pieśń się niesie majem.  
W imię Syna, Ducha,  
Pieśni tej nie słuchaj.*

Stary oblizuje spierzchnięte wargi, zerka na Kóbę. Oczy ma jasne i nie znać w nich wcale przeżytych siedemdziesięciu i dwóch zim.

— Jak to, jaka? — pyta. — A czyja ma być? Rusałczyna!

Kóba na te słowa smarka jeno pogardliwie, wpierv z prawej dziurki, potem z lewej. Za drugim razem obsmarkuje sobie portki, bo wozem zarzuca na jakimś kamieniu. Stary Myszka widząc to, rechocze rzeźliwym śmiechem, aż mu z tej uciechy kolebie się indycze wole pod szyją.

— Rusałczyna — powtarza pod nosem, jakby sam do siebie.

Na świecie zmierzcha, a tutaj, w bukowym lesie, noc trwa już na dobre. Nawet ptaki się pospały i tylko spóźniony kos co rusz wyśpiewuje jedną i tę samą strofkę. Dziki bez pachnie tak, że idzie oszaleć. Bo to jest taki właśnie las: buki, bez i ciemność.

— Wychodzą na święty Jan na polanę, tutaj, niedaleko. A śpiewają, a tańczą, aby tylko chłopów zmamić. Jak posłyszysz ich wołanie, to czym prędzej zatkaj uszy woskiem, coby nie słyszeć i nie słuchać. Najlepiej wtedy pieśń jaką pobożną zaśpiewaj albo majową litanie do Matki Bożej, albo módl się w kółko tysiąc razy: Panie Jezu kyrielejzon, pomiluj mnie grzesznego, aż w ciebie wejdą te słowa i staną się częścią ciebie. Bo jak zaczniesz słuchać, to przepadłeś. A jeśli pójdziesz rusałki podglądać, toś zgubiony z ciałem i z duszą. Bo one w samych giezełkach tańczą, i jak raz zobaczysz, to już sobie nie znajdziesz miejsca na ziemi między ludźmi.

— Starzyście, dziadku, a jedno wam we łbie — zaśmiewa się Kóba, ale Stary Myszka nic na to. Wraca tylko do swej śpiewki:

*Hej, kogo pieśń chyci,  
Snadnie się zachwyci.  
Los swój zdepce, rzuci,  
Z lasu nie powróci.*

Drzewa rzędą, między gałęziami znać błękit nocy.  
Wóz turkoce drogą w dół, ku wsi. Słońce dawno znikło  
już za górami, ale wciąż świeci jakby spod ziemi, bo pias-  
skowa luna rozlewa się jeszcze po świecie, złoci strzechy  
i dach kościoła.

Stary Myszka i Kóba mijają rów i kołyszące się nad  
nim wierzby. Wierzb jest dwanaście i stary powiada, że  
to są Panajezusowe apostoły, a ostatnia, uschnięta i sto-  
czona przez robactwo, to Judasz Iskarjota. Stary Myszka  
powiada jednak różne rzeczy i nie należy mu we wszyst-  
kim wierzyć.

Nim na dobre zjadą do wsi, Kóba staje jeszcze na  
wozie. Nasłuchuje, ale od lasu nie idzie żadna pieśń.  
Tylko świerszcze grają w trawie.

## II

# O tańcu księżycowym

Powiadają, że Kóba wraz ze Starym Myszką służyli w karczmie Rubina Kohlmanna w Kamienicy za szabesgojów.

— Ojemełe, ajneklajnemiteszmok! A co to niby jest? — Żyd podtykał pod nos pecynę gliny na przemian to młodemu, to staremu. — To mają być gliny? Jake to gliny, pytam się ja was! Tak to jest goje po gliny wysłać. Błota i krowie główne zwieją!

Ani Kóba, ani Stary Myszka nic nie odrzekli, a dziad nawet jął skręcać papierosa. Wiedzieli, że Rubin musi sobie poojczeć, bo to jedyna jego rozrywka w życiu. Najbardziej zaś narzekał na swoich szabesgojów.

Szabesgoje robili w domu i karczmie wszystko to, na co Żydowi nie pozwalał zakon, i to, na co zwyczajnie nie miał ochoty, w szabas i nie tylko. Kóba i Myszka nie narzekali, choć marudny Rubin wiecznie był z czegoś niezadowolony, rwał brodę, pomstował i wzywał Pana Boga nadaremno.

Z Rubina był jednak porządny człowiek, choć Żyd. Nie można zresztą być innym, bo mając żonę starą i przykuta do łóżka, syna rabina i córkę meszugene, to znaczy wariatkę, nie da się być złym. Może dlatego Kohlmana przezywano Kohlkopferem, nie kryjąc się z tym nawet specjalnie, jakby wszyscy sprawdzali, czy agent karczmy potrafi się prawdziwie rozżłościć. Zresztą, zawsze to lepiej robić u Żyda niż u pana, bo Żyd za robotę płaci, a przy niedzieli daje niekiedy antałek wódki. Przede wszystkim jednak Żyd nie biją. Pan bowiem dekretem Jego Miłości Kajzera z Wiednia może chamowi wymierzyć dwadzieścia i pięć kijów za dowolną przewinę, a babie i dziecku nie mniej, tyle że baby i dzieci należy bić nie kijem, lecz brzoźową witką.

Tamtego wieczora za oknem ścielił się biały blask, bo księżyc wzeszedł wcześniej. W tej poświacie widać było wszystko wyraźniej niż w dzień. Za dnia bowiem kształty rozmywają się i rozmazują, a barwy przelewają w siebie nawzajem i bywa, że rzeczy wyglądają jak za zakurzoną firanką albo jak zasnute dymem. A księżycową nocą wszystko jest ostre, jakby wycięte z papieru, tylko kolorów mniej. Dom, karczma, zgarbiony żuraw na podwórzu – czarne. A świeże igły na modrzewiach przy obejściu puchate i białe, bardziej jak śnieg niż igły. Taki fałszywy, żydowski dzień.

Kóba już ma iść spać, kiedy ją dostrzega. Jak zwykle wspina się na stromy dach gospody, podobna do łasicy albo do nocnej duszy. Wysoko, wysoko, aż na samą kalenicę z rzeźbionym pazdurem po każdej stronie. Odpoczywa chwilę.

A potem zaczyna tańczyć.

Tańczy z rękoma w górze, tym rozedrganym, cygańskim krokiem. Zarzuca głową w lewo i w prawo, na wpół

sennie, na wpół namiętnie, ciemne włosy idą za nią falą, niby obdarzone własnym, węzowym życiem. Pod księżyc widać ją wyraźnie, jak rzeźbioną z hebanu. Kóba wie, co to heban, bo Rubin Kohlmann ma kasetkę z hebanu, a jaśniepan dziedzic we dworskiej kancelarii posiadają nawet hebanowe meble. I teraz, nocą, Chana Kohlmannówna jest czarna, lecz piękna.

Za dnia już piękna nie będzie, bo dzień ukaże krosty na jej nastoletniej twarzy i zbyt duże zęby, krzywe i wystające jak u karpiowałej kobyły. Bo tak naprawdę córka Rubina jest chuda i brzydka.

Teraz wszakże trwa noc, a noc ma własne prawa.

Kóba przypatruje się chwilę dziewczynie, ale potem wymyka się z chałupy. Cichaczem przebiega przez podwórko i wspina się na dach kurnika, a stamtąd na gzyms biegnący wokół piętra karczmy, skąd można bez wysiłku podciągnąć się na kryty gontem dach. Wszystko to cicho, cichuteńko, bez jednego dźwięku, aby nie spłoszyć dziewczyny, ale też aby nie zaalarmować całej rodziny Kohlmannów, gotowych – jak to Żydzi – narobić rejdachy. Stary Myszką powiadał bowiem nie raz i nie dwa, że ludzi tańczących do księżyca budzić nie wolno, aby się w nich dusza nie wystraszyła i nie czmychnęła precz. I choć Żydzi podobno nie mają duszy, to Kóba nie chce budzić Chany zbyt nagle, bo mogłaby się przelać i spaść. Za dnia bowiem, w świetle słońca, dziewczyna boi się nawet wejść na piątą szczebel drabiny, nie mówiąc o dachu gospody.

Chana tańczy na kalenicy i rozrzuca wokoło maleńkie karteczki, świstki, karteluski. Przypominają płaty grubego śniegu. Na każdej widnieje napis, dłuższy lub krótszy, a czasami tylko jeden albo dwa znaki. Wszystko zapisane po żydowsku, wspan, tymi niskimi, zmęczonymi literami,



wyglądającymi, jakby ktoś chciał je zdeptać i zmiażdżyć. Być może są to modlitwy. Być może są to zaklęcia. Być może jedno i drugie, bo przecież stoi w Biblii, że Żydzi, poczynając od samego Abrahama, od dawien dawna próbowali wymusić na Bogu różne rzeczy i podporządkować Go swej woli. Jeśli ktoś miałby znać zaklęcia, którym podlegały sam Pan, Bóg, to tylko oni, nikt inny.

Chana tańczy, a Kóba zbliża się do niej po dachu, zgięty w pół niczym małpa z krainy Negrów. Ujmuje delikatnie wiotkie i chłodne nadgarstki dziewczyny. Parę kroków – i już są na dole. Żydóweczka idzie za Kóba potulnie jak szczenię, choć nadal przebywa w dziwnych krainach w swojej głowie; gdyby ją puścić, zaczęłaby tańczyć na nowo. Lgnie przy tym do Kóby cała, aż mu się dziwnie robi koło serca.

Dziś wtorek, a we wtorek nikt do knajpy nie przychodzi, więc Rubin Kohlmann i jego córki kładą się spać wcześniej. Parobek kołacze w kuchenne drzwi gospody. Po drugiej stronie szczęka zasuwka, stare Żydzisko wylazi na zewnątrz i przeciera klajstrowane snem powieki.

— Ajneklajnemiteszmok! Chana!

— Znowu tańczyła na dachu. Pilnujcie jej lepiej, gdy świeci księżyc.

— Zoje musiały zostawić drzwi na auf. Dzięki, Kóbe. Dobrze ciębie chłopak.

— Spokojnej nocy, panie Kohlmann.

— Ty szpij dobre też, Kóbe.

### III

## O wierzbach i deszczu

Powiadają, że we wszystkim maczały palce rusałki.

Może dlatego, że Kóba wciąż wypytywał o nie Starego Myszkę, bo chłopak bardzo był łasy na opowieści. Ale stary podśmiewał się jeno i trudno było wydobyć z niego coś ponad to, co już rzekł: że rusałki wychodzą tańcować po lesie gdzieś między świętym Janem a świętym Pietrempawłem, że niekiedy śpiewają i, przede wszystkim, że są gołe. O wszystkim mógł stary opowiadać: o królu pradawnym Bodzosie, co go powiesili na górze zwanej Magą, i o zbójcu Zapale, i o czarnodzieju Mruku, i o Wężowym Królu, i o złych wiedźmach, co ludziom szkodzą, i o dziewczynie z kartofliska, która żyje w ziemniaczanej pleśni, i o diable wierzbowym Zapaliczce, który stłukł księżyc, i jeszcze podobnie, bo historii znał Myszką wielkie mnóstwo. Tylko o tych rusałkach coś gadać nie chciał.

Pewnego dnia szedł Kóba ku dworowi w Siedliskach na pierwsze sianokosy. No bo chłop jest chłop i iść musi,

gdy pan każą. Może być bez ziemi, może być szabesgojem – i tak pozostaje własnością dziedzica, jak trzoda albo drzewka owocowe. Niechętnie więc bo niechętnie, ale Kóba szedł.

Zaduch i parota toczyły się między górami, a po dołach powietrze zalegało białe i lepkie niczym sok z łąciny mlecza. Nawet muchy i bąki leniwiły się, bzycały od niechcenia i łatwo dawały się pacnąć ręką. Było południe, ale skwarot wisiał od samego rana i Kóba spocił się cały, ledwie dotarł do wierzb apostołów. Do Siedlisk miał mniej niż austryjacką milę i nie było potrzeby się spieszyć. Na wieczorną kośbę i tak zdąży, bo łąkę należy kosić albo z rana, albo z wieczora. W tobołku mile chlupotała czereśniowa pamuła w kamionkowym dzbanku; obiad musiał Kóba zabierać ze sobą, bo dziedzic byli syc i nie dawali jeść po robocie. Parobek spojrzął przed siebie – nikogo. Spojrzął za siebie – nikogo. Pakunek lepił się do pleców. Kuba dał nura w cieniste zarośla pod wierzbami i łapczywie zjadł wszystko, co miał do zjedzenia.

Chana Kohlmannówna robiła najpyszniejszą pamułę na świecie, a do tego zapakowała Kóbie pięć białych bułek, smacznych, choć bez zakwasu. Przy robocie chłop musi sobie pojeść i tylko jeden pan dziedzic uważali inaczej.

Może więc przez ten pełny brzuch, może przez leniwy upał, może przez zielony cień wierzb, może przez złośliwe duchy w tych wierzbach mieszkające, a pewnie przez wszystkie te rzeczy pospołu, sen ogarnął Kóbę wronim skrzydłem.

Zbudził go grzmot, niski, taki, od którego drży ziemia. Chłopak rozejrzał się bezprzytomnie. Niebo zaciągnęło się już na grafitowo, ale w oddali chmury na brzegach miały zły, zielonkawy poblask. Wiejba szła taka, że tarzało gałęziami, wyło i rwało liście. Białe żyły błyskawic

waliły w widnokrag. Nawałnica zbliżała się od północy, a to niedobrze, bo burze znad równin zawsze są gorsze od tych z gór.

Już, już miał Kóba zrywać się i biec nazad do karczmy Kohlmana, gdy między wierzbowymi konarami dojrzał dziewczkę.

Leżała na brzuchu na pochyłej gałęzi, podpierała brodę jedną dłonią i bezczelnie gryzła ostatnią bułkę Kóby. Wszystko w dziewczynie było jak woda, bezbarwne aż strach. I włosy, i oczy, i luźna, przeświecająca halka. Machała leniwie łydkami i spozierała na Kóbę na wprost ciekawsko, a na wprost szyderczo, i zupełnie nic nie robiła sobie z nadchodzącej burzy.

— Kto ty jesteś? — spytał chłopak, bo nie kojarzył dziewczyny z żadnej wsi.

A ona nic nie odpowiedziała, tylko obgryzała bułkę dookoła, jak jabłko.

I wtedy lunął deszcz. W jednej chwili kapało nie mocniej niż ksiądz kropidłem, a w następnej z nieba poszły całe szare rzeki. Jakób skulił się przy wierzbie, wcisnął głowę w ramiona, a dziewczyna, chichocząc, zeskoczyła z drzewa i uciekła w ulewę. Włosy i halka lepiły jej się do ciała, i Kóbie zaschło w gardle jak po zbyt mocnej herbacie. Stał i mókł, i mókł, i mókł, bo wierzby nie dawały prawie żadnej ochrony, a gdy zmókł tak, że już bardziej się nie dało, powlókł się krok za krokiem ku gospodzie.

Zanim dotarł, deszcz przerzedził się i całkiem ustał. Pachniało ciszą i mokrą ziemią.

## IV

# O ogniu, co nie grzeje

Powiadają, że takiej dziewczyny nie było i nie mogło być, ale w to Kóba nigdy nie uwierzył.

Następnego dnia odwalił po łebkach całą robotę, którą miał u Kohlmana, i wczesnym wieczorem wymknął się z karczmy do wierzb-apostołów. Po drodze w plebańskim sadzie narwał do kobiałki czerwonych porzeczek, wielkich i słodkich od słońca.

Dziewczyna była na miejscu. Czekala i tak jak wczoraj pólężała na brzuchu na wierzbowym konarze. Bawiła się od niechcenia kwiatem malwy; kręciła go między palcami, wkładała we włosy, wyjmowała, nadgryzała płatki, obracała w dłoniach. Kóba zbliżył się do niej powoli, tak jak podchodzi się do spłoszonego konia, ale ona wcale nie miała zamiaru się płoszyć. Spoglądała nań jeno z jakimś zwierzęcym zaciekawieniem. Jak wariatka.

— Jak ci na imię? — zapytał, nie licząc, że mu odpowie.

Dziewczyna obojętnie zmięła kwiat w dłoniach i rzuciła na ziemię.

— Malwa — powiedziała. Głos miała niski i schrypnięty, piękny. Kóba nie wiedział, czy miała to być odpowiedź na jego pytanie, ale na inną i tak nie miał co liczyć.

— Ja jestem Kóba. Przyniosłem porzeczeki — rzekł więc i wyciągnął ku niej koszyczek. Chciwie chwyciła wielką kiść i wsadziła sobie całą do ust. A potem jeszcze jedną, i jeszcze. Ogonki wypluwała na ziemię, zmiędlone i przeżute.

Kóba usiadł obok na sękatym korzeniu wierzby i jadł porzeczeki zwyczajnie, jak człowiek, gałązka za gałązką. Zerkał raz za razem na Malwę i pąsował, bo dziewczyna znów miała na sobie tylko giezło, takie, że niby okryta, a wszystko widać. Chłopak, choć niebrzydki, nie miał jakoś śmiałości do dziewczuch, a one nieraz z tego powodu chichrały i podśmiewały się z niego. Teraz zaś był tutaj, tuż przy Malwie, wystarczająco blisko, by chłonąć świeży zapach dziewczęcego potu.

— Chodź tu do mnie — zdobył się wreszcie na odwagę, ale dziewczyna tylko wyciągnęła ku niemu dłoń z obrąbkami brudu pod paznokciami.

— Daj jeszcze.

Więc dał.

— Zejdiesz na dół?

Malwa roześmiała się ochryple, skoczyła z drzewa niczym kotka i uciekła gdzieś w łąkę. Kóba pobiegł za nią, ale dziewczyny nie znalazł. Zupełnie jakby rozplynęła się w nawłóć i maki, i w złociste światło wieczoru.

Nocą długo przewracał się z boku na bok. Sen przychodził i odchodził, bawił się Kóbą i rzucał nim jak fala rozkołysaną na jeziorze łódką. Chłopakowi było zimno i cały się trząsał, choć to przecież czerwiec i można by spać nawet nago. Nakrył się po uszy kołdrą wypchaną żytnią

sieczką, zawlekl na to dwa koce i dopiero wtedy zrobiło mu się trochę ciepłej.

Najlepiej grzało go jednak wspomnienie Malwy. Odsunął się pod ścianę, jakby chciał zrobić dla niej miejsce na sienniku, i wyobrażał sobie, że dziewczyna leży tuż przy nim. Zrobił się twardy i sztywny tam w dole, bał się jednak sięgać do siebie dłonią, bo Stary Myszka sen miał lekki i zawsze go na tym przydybywał. Malwa jednak sama pchała mu się przed oczy i całe ciało chłopaka pulsowało żarem. Kóba próbował myśleć o najbrzydszej babie, jaką znał – o starej Kohlmannowej, rozlazłej i białej jak ciasto na pierogi. Niewiele to pomagało.

Rankiem wstał bezprzytomny. Ręce i nogi miał słabe, jakby nie z ciała i kości, tylko ze słomianych wiechci. W dodatku coś gniotło go w piersi i chyrlał niczym dzia-dyga.

— Idź ty lepiej skoś tę łąkę — radził mu Stary Myszka.  
— Nie minie cię to. A jak nie pójdziesz, to się dziedzic rozsierzdą i grzbiet ci obić każą. Słonko cię w drodze wygrzeje i wygoni choróbsko, bo coś cię chyba bierze.

— W dupie mam dziedzica — burknął Kóba, ale poszedł.

Rychło pojął, że z košby dzisiejszego wieczora też nic nie będzie. Słońce, zamiast wygnać słabość z członków, drażniło go tylko, a ziaęb w piersi jak siedział, tak siedział. Chłopakowi zdawało się, że nosi w piersi bryłę lodu. Szedł cieniem – marzył. Szedł słońcem – pękała mu głowa. Tlił się w nim tylko jeden ogień, ale ten, zamiast rozgrzewać, podsyczał tylko gorączkę. Ten ogień miał na imię Malwa.

Na pańską łąkę nie doszedł więc i tym razem. Zaraz za wierzbami-apostołami zaszył się w dzikim sadzie. Malwa nie dawała mu spokoju. Obsunął portki i przyjrzał się sobie. Był duży, twardy i ładny.

Powietrze brzęczało od świerszczy, a może to Kóbie brzęczało w głowie, i może mu się przyśniło, bo w południowej godzinie różne zwidy snują się polami. Może mu się zwidziało, że to nie on ujmuje się w dłoń, tylko robi to Malwa; że dziewczyna stoi tuż za nim, że obejmuje go, a Kóba czuje napierające nań jej młode i piękne ciało, piersi, brzuch, wszystko. Że dziewczyna niemal go parzy, bo kobiety mają gorętszą skórę od mężczyzn. Jakby oboje mieli gorączkę, tak. I oddech Malwy na karku jak tchnienie rozslonecznionej ziemi, bo Malwa tak właśnie pachnie, trochę potem, a trochę ziemią. A wtedy, niepokojąco szybko, cały świat skupia się w tym maleńkim punkcie na końcu ciała: i gorączka, i słońce, i łąka brzęcząca owadami, wszystko, co istnieje, wzbiera gwałtownie i wybucha falą gęstej, zawiesistej rozkoszy.

Może się Kóbie zwidziało, że gdy jemu ciągle jeszcze tańczyły przed oczami fioletowe powidoki, Malwa oblizwała palce z jego rosy i znikła wśród traw, jakby jej nigdy nie było.

Może się mu zwidziało, a może wcale nie.